

dr Krzysztof Janik
Felieton

1.

Zadziwiające, jak szybko ucichła dyskusja nad przyczynami klęski lewicy parlamentarnej w ostatnich latach. Milczy w tej sprawie większość ówczesnych polityków lewicy. Nie zajmują się tym analitycy, a także cieszący się autorytetem uczeni. Tak naprawdę pracę za nich wszystkich wykonali dziennikarze i dyżurni komentatorzy z tytułami naukowymi. Werdykt był jasny: u źródeł tej porażki legła wielka ilość afer z udziałem polityków tej partii. Bez znaczenia było uprzednie doświadczenia AWS, (a polityków tej formacji skazano prawomocnymi wyrokami), upiekło się także PiS-owi, któremu zatrzymano nawet konstytucyjnego ministra. W przypadku SLD, gdzie jeszcze nikogo prawomocnie nie skazano, a szereg postępowań umorzono, takiej ulgowej taryfy nie było. Także afera Rywina, którą powszechnie uznaje za bezpośrednią przyczynę SLD-owskich kłopotów nie zakończyła się po myśli prawicowych polityków i dziennikarzy.

Co dziwniejsze, w tej debacie brakło głosu lewicowych mediów i intelektualistów. Gdziekolwiek z łamach gazet odzywały się nieśmiałe opinie, że to wina SLD i jej kierownictwa. Zarzucano mu nadmierny pragmatyzm (jakby w rządzeniu był on przeszkodą), ale przede wszystkim odejście od zasad i celów lewicowej polityki i doktryny. Zapewne w dużej mierze słusznie. Sojusz Lewicy Demokratycznej rządząc w szalenie trudnej sytuacji gospodarczej i budżetowej miotał się między rozwiązaniami neoliberalnymi a blairyzmem. Niewątpliwie byliśmy wówczas pod wrażeniem koncepcji „trzeciej drogi” ogłoszonej we wspólnym artykule przywódców brytyjskiej Partii Pracy i niemieckiej SPD. Miotaliśmy się pomiędzy pomysłem Leszka Millera na podatek liniowy, a projektem ustawy (złożonym pod koniec 2004 roku) ustanowienia 50% stawki podatku progresywnego. Także w warstwie politycznej Sojuszowi brakowało jednoznaczności. Z jednej strony awanse pod adresem płk Kuklińskiego (bez jasnego wyjaśnienia intencji) czy prałata Jankowskiego, z drugiej słynny i nagłaśniany Sylwester części liderów lewicy z bogaczami w Zakopanem.

To były poważne błędy. Ale zasadniczy błąd - moim zdaniem – tkwił gdzie indziej.

2.

Pisałem już kiedyś, że Socjaldemokracja Rzeczypospolitej Polskiej powstawała i kształtowała się przez wiele lat jako wspólnota biograficzna. To nie była niczyja wina, ani czyjkolwiek świadomy zamysł. Tak ułożyły się okoliczności historyczne oraz wadliwa polityka zwycięskiego obozu „Solidarności”. Dominowały w nim zamiary zupełnego wyłączenia ludzi PZPR z życia publicznego, wypchnięcia ich z polityki. Jeśli nawet rozumiano, że jest to sprzeczne z kanonami demokracji, to godzono się, co najwyżej, na tolerowanie ich – i ich formacji – na marginesie tejże polityki, jako partii nostalgii i przeszłości. To ta polityka wepchnęła do SdRP (a potem SLD) ludzi o rozmaitych poglądach politycznych, spod różnych znaków ideologicznych. To, w sensie mentalności politycznej, była jakaś kontynuacja PZPR jako „syndykatu władzy”. Co prawda opuszczali zorganizowaną lewicę ludzie biznesu. Odeszli także ludzie prawicy (a członków PZPR odnajdujemy we wszystkich partiach początku lat 90-tych), ale zostało w niej

sporo ludzi bez sprecyzowanych poglądów ideowych, „techników władzy”, sprawnych administratorów. To oni przyczynili się do sukcesu pierwszych rządów SLD-PSL, a potem do zwycięstwa w wyborach prezydenckich. Zmieniła się wówczas społeczna i polityczna pozycja lewicy postpezetperowskiej. To spowodowało, że zaniechano prac wewnętrznych, zlekceważono poważne prace programowe. Sprawna technika władzy (w tym program działań operacyjnych) plus coraz bardziej nieśmiała walka na froncie sporu o przeszłość – to zdefiniowało politykę dominującej partii lewicowej po zwycięstwach połowy lat 90-tych. Do tego wielkie narodowe wyzwanie – akcesja Polski do Unii Europejskiej, co do którego byliśmy pewni, że je udźwigniemy – i recepta na zwycięstwo wydawała się pewna. Sukces roku 2001 utwierdził tylko aktywność i kierownictwo SLD w przekonaniu, że to jest słuszna droga.

To, oczywiście, miało swoje konsekwencje. Polityczne: powstawały partie o wyrazistych poglądach lewicowych, ale nie umiały (nie miały szansy?) poważnie za uczestniczyć w debacie publicznej. SLD zawłaszczyło pojęcie lewicy i jego społeczną konotację. Nie oceniam tego, stwierdzam fakt. Ideowe: brakło moralnego wymiaru polityki. Programowe: zaniechano prac nad strategicznym programem ideowym, koncentrowano się nad doraźnymi zadaniami. Słynne stwierdzenie, że najpierw trzeba zdobyć most (wygrać wybory), potem przejść na drugą stronę rzeki (utworzyć rząd, zdobyć władzę), a potem zobaczymy, co dalej – najlepiej oddaje istotę tej koncepcji. Organizacyjne: nie stworzono żadnego poważnego zorganizowanego zaplecza intelektualnego lewicy, szereg inicjatyw w tym względzie było raczej dziełem indywidualnych ludzi, (za co im chwała), niż efektem przemyślanej koncepcji.

3.

Tu jest pies pogrzebany. Poza jednostkami (politykami i intelektualistami) nikt nie podejmował z lewicowej perspektywy prób poważnych analiz tego, co w Polsce działo się po 1989 roku. Lewicowi profesorowie (a nie jest ich mało) prowadzili swoje badania na uniwersytetach i w placówkach Polskiej Akademii Nauk, a partia nawet nie umiała po nie sięgnąć. Sygnały o rozejściu się polityki SLD z oczekiwaniami elektoratu narastały, a nie zawsze miał je kto wysłuchiwać. Formuła III RP wypracowana przy „okrągłym stole” i utwardzona w II połowie lat 90-tych wyczerpywała się, ale w SLD nie było to przedmiotem analizy. Paradoksalnie, pierwszy odkrył to Jarosław Kaczyński, ale też nie konsekwentnie. Starczyło na zdobycie władzy, ale już nie na jej sprawowanie. Sukces PO jest tylko przejściowy, to antybiotyk na przejawy choroby, ale żadna próba jej wyleczenia.

Wyraźnie trzeba sobie powiedzieć, że kończy się czas przejściowy, zdeterminowany przez politykę wyrastającą z „okrągłego stołu”. Kolejne pokolenia unieważnią przyjęte wtedy rozwiązania i pryncypia polityczne. Historia przestaje być punktem odniesienia na mapie politycznej organizacji społeczeństwa. Siła rozwiązywania doraźnych problemów przestaje być motorem polityki. Rozpoczyna się prawdziwy spór o przyszłość, o ideowo-polityczny kształt systemu partyjnego. Kto go wygra, ten zakotwiczony na dość długie lata na polskiej scenie politycznej. Nie idzie tu o jedną kadencję i wyniki rządu 10 czy 15%.

4.

Kluczem do tego zwycięstwa jest obecność lewicowej narracji w życiu publicznym. Tu nie chodzi li tylko o język. Gdyby szło tylko o niego środowisko „Krytyki Politycznej” byłoby wystarczające. Tu idzie o zdolność głównych nurtów ideowych (bo to samo wyzwanie jest przed prawicą) do sformułowania zasadniczych, wyrazistych celów państwowych i społecznych zdolnych opanować wyobraźnię Polaków. Lewica nie jest do tego gotowa. Ostatnim takim

celem okazało się wstąpienie do Unii Europejskiej. Potem już nic nie mieliśmy współobywatelom do zaproponowania. I surowo zostaliśmy za to ukarani.

Lewica, ani wówczas, ani wcześniej, ani też obecnie nie ma swojego opisu świata i otaczającej nas rzeczywistości. Nie umie jasno i przekonująco wskazać, jakie czynniki zadecydowały o tym, że tak spora część polskiego społeczeństwa czuje się wykluczona z III Rzeczypospolitej, nie tylko wszak materialnie. Nie umie językiem polityki i wartości, którym ona powinna służyć, wskazać dróg naprawy tego stanu rzeczy. Nic tedy dziwnego, że naturalny elektorat lewicy poszedł za populistami. Lepper i Kaczyński mówili tym samym językiem. To była naturalna i ciesząca się autentycznym poparciem ludu koalicja. Miała swoich namacalnych i powszechnie identyfikowanych wrogów, piękna hasła na sztandarach i jasny sygnał dla ludzi tęskniących za małą stabilizacją PRL-u. To minister Ziobro i jego szwadrony, to hasło onnipotencji państwa. To ład, porządek i hierarchia – tak lubiane przez miliony wyrzuconych poza nawias.

To się nie może powtórzyć. To oczywiste. Ale nie pomogą w tym zakresie zakłęcia, ani nawoływania, zwłaszcza, kiedy ich autorem jest ta część lewicy, która poszła za syrenim głosem Leppera. Jedyną receptą może być powstanie lewicowego projektu dla Polski, aby użyć sformułowania prof. Reykowskiego. A więc takiego projektu, który odwołując się do tradycyjnych wartości lewicy, na nowo – w warunkach XXI wieku – opisze nasze cele i naszą politykę. Tego nie zrobią zasiedziali (a wręcz okopani) w swych partyjnych ogródkach lewicowi politycy. Tego też nie da się zrobić siłami samych partii politycznych. To zarazem wielka szansa, aby do politycznej lewicy przyciągnąć lewicowe środowiska intelektualne, zbudować prawdziwy lewicowy think tank. To także szansa na przebudowę struktury organizacyjnej polskiej lewicy i w perspektywie utworzenie nowej formacji politycznej. Nie wspólnoty biografii czy karier, ale prawdziwej wspólnoty ideowo-programowej. Czy ją wykorzystamy? Oto jest pytanie.

Krzysztof Janik, dr nauk humanistycznych, działacz polityczny i państwowy, b. przewodniczący SLD, b. minister spraw wewnętrznych w rządzie Leszka Millera